

**GABRIELA  
ZAPOLSKA**

MENAŻERIA  
LUDZKA

# Gabriela Zapolska

## Menażeria ludzka

[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=55843334](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843334)

*Menażeria ludzka:*

### Аннотация

Irytujące osły, ukochane żabusie, wredne małpy – w codziennych rozmowach przewija się czasem cały zwierzynek. Nie inaczej było ponad sto lat temu, za czasów Zapolskiej. Historie koteczków i gołąbków, małp, oślic i kozłów ofiarnych, czasem śmieszne, czasem straszne, a czasem okrutne. Łączy je wyjątkowy zmysł obserwacji autorki, która w scenkach z życia powszedniego uchwyciła wychodzące z ludzi zwierzęta, te przerażające i te budzące współczucie. Gabriela Zapolska, czyli Maria Gabriela Janowska z domu Korwin-Piotrowska, podobnie jak jej utwory, budziła kontrowersje. Była postacią niejednoznaczną, aktorką, dramatopisarką, autorką powieści i opowiadań. Nazywano ją „polskim Zolą”; podobnie jak on poruszała w swoich utworach tematy niewygodne, drażliwe i omijane przez większość innych autorów epoki. Pochylała się nad problemami społecznymi, gorąco krytykowała tzw. moralność mieszczańską, którą po sukcesie Moralności pani Dulskiej zaczęto nazywać „dulszczyną”.

# Содержание

Żabusia	4
Koteczek	15
Kozioł ofiarny	37
Oślica	60
Конец ознакомительного фрагмента.	69

# Gabriela Zapolska

## Menażeria ludzka

### Żabusia

Była jasną blondynką, jasną jak słońce promienne...

Drobna jej, maluchna buzia; różowa i biała, śmiała się jakimś dziecinnym, naiwnym śmiechem, złościącym w pulchnych policzkach dwa rozkoszne dołki.

Z całej jej postaci zdawała się wydzielać woń właściwa różowym hiacyntom, a gdy ubrana w różową *matinée*<sup>1</sup> przesuwała się ze śmiechem z pokoju do pokoju, jakaś srebrna smuga znaczyła jej przejście, smuga, którą pozostawia po sobie wschodząca jutrzienka.

Śmiała się ona zawsze, ta rozkoszna, jasnowłosa kobietka – śmiała się leżąc jeszcze w kołysce, potem u krzesełek konfesjonału – wreszcie u stopni ołtarza, gdy wlokła za sobą szumiący tren jedwabnej białej szaty.

Śmiech powitał nawet krzyk jej córki – bo nawet w cierpieniach umiała coś zabawnego wynaleźć.

Była bardzo pobożną i co dzień prawie biegła do kościoła.

Miała ładną książeczkę oprawną w kość słoniową i zbrudzoną na kartkach, które czerniły się modlitwą *Za męża i rodzinę*.

---

<sup>1</sup> *matinée* (fr.) – tu: poranny strój kobiecy. [przypis edytorski]

To była jej świąteczna książka – na co dzień miała wielkiego *Dunina*, którego czytała, strzelając oczkami na lewo i prawo lub przechylając główkę na atlasową kołdrę swego eleganckiego łóżka.

Lubiła łakocie i miała pod poduszką kilka daktyli, które jądra przebudziwszy się w nocy, chichocząc jak szalona.

Przepadała za wanilią i miała jej zawsze pełne kieszenie, lubiła grać w loteryjkę, przy tym szachrowała dość zręcznie.

Córkę swoją – małą, puciołowatą dziewczynkę – przezywała „Nabuchodonozorem”<sup>2</sup>, a męża „Rakiem”. Siebie samą, jakkolwiek miała na chrzcie św. imię Zofii, nazywała „Żabusią”. Często siadywała na dywanie i bawiła się z córką, przy czym następowała kłótnia o zabawki, które matka z córką wydzierały sobie wzajemnie.

Mąż, dobry, poczciwy filister<sup>3</sup>, urzędnik w jakimś towarzystwie asekuracyjnym, podkręcał wąsa i uśmiechał się z zadowoleniem.

– Dziecinna! Ach, jaka dziecinna ta moja Żabusia!

Ona z krzykiem zrywała się z ziemi, siadała na kolanach męża i rozpoczynała śpiewać...

Jechał pan,  
Za nim chłop,  
A za nim Żydóweczki

---

<sup>2</sup> *Nabuchodonozor* – imię królów babilońskich. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *filister* (pogardl.) – mieszczanin. [przypis edytorski]

Pogubiły patyneczki<sup>4</sup>...

Śpiewając, wyciągała z mężowskich kieszeni pieniądze i z powagą dawała mu dziesięć groszy:

– Masz, Raku, na czarną kawę!...

Resztę pieniędzy chowała do toaletki. I Rak poddawał się tej tyranii, jakkolwiek dziesięć groszy dziennie, nawet dla urzędnika w towarzystwie ubezpieczeń, chyba za mało!...

Jakże się jednak sprzeciwić tej rozkosznej istocie, która z całą naiwnością patrzy mu w oczy i biały, pachnący karczek do pocałunków nadstawia? Brał Rak ową wytartą dziesiątkę i całował Żabusię, znajdując w tym wiele rozkoszy.

Była więc bożyszczem całego domu.

Kochał ją mąż, pomimo że tyranizowała go nieznaczenie.

Kochało dziecko, pomimo że wydzieraała mu zabawki i wrywała włosy, czesząc dwuletnią dziewczynkę à la Mikado<sup>5</sup>.

Kochały sługi, pomimo że grymasiła bezustannie i czasem całe ranki siedziała w kuchni.

Nad wszystko jednak ubóstwiali ją rodzice.

Tych dwoje starych ludzi w Żabusi swej widziało uosobienie cnót i doskonałości wszelakich.

Żabusia – jedyne, wypieszczone dziecko – za wzór była wszystkim kobietom stawiana...

A gdy co wieczór zgromadzono się dokoła stołu oświetconego

---

<sup>4</sup> *patyneczki* – rodzaj płytłych pantofli. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> *mikado* – tytuł cesarza Japonii. [przypis edytorski]

wiszącą lampą, Żabusia, wycinająca lalki z tektury lub lepiąca abażury, była punktem koncentrującym wszystkie spojrzenia.

Ku niej zwracano się, uśmiechano, przesyłano pieszczotliwe słowa.

Ona – różowa, biała, wesoła – poddawała się tym pieszczotom, tej wielkiej miłości, jaka ją otaczała, kąpiąc się niejako w ciepłe przywiązania i rozsiewając dokoła promienie szczęścia rodzinnego. Każdemu odwzajemniała się dobrym słowem, uśmiechem, a drażniąc Nabuchodonozora, głaskała dziecko po głowie; potrąciwszy sługę, uśmiechała się do niej, nazywając „pocziwą idiotką”...

Nie – stanowczo nikt się nie mógł na Żabusię gniewać, lecz przeciwnie, każdy musiał ją uwielbiać jako wcielenie dobroci, wdzięku i prostoty...

Była ona uosobieniem kobiecości.

Miała tyle tkliwości w spojrzeniu, w głosie, w ruchach łaszczącej się kotki, że rozkosz było patrzeć, gdy na paluszkach skradała się, by uszczypnąć drzemiącego męża lub nasypać pieprzu w otwartą buzię córki...

Śmiała się przy tym rozkosznie i wdzięcznie przeginając, zasypywała pieszczotami przerażonego męża lub skrzywioną dziecinę... mówiła przy tym cieniuchnym głosem:

– Nie gniewaj się na Żabusię!...

Więc mąż uśmiechał się do tego białoróżowego zjawiska, dziękując Bogu, że dziecinne usposobienie żony pozwoli mu nie

lękać się o naruszenie z jej strony wierności małżeńskiej...

I rzeczywiście – kręcąca się po domu z wesołą piosenką na ustach, ubijająca piankę w kuchni, przyszywająca guziki do mężowskiego palta lub nicująca<sup>6</sup> krawaty, była uosobieniem kochającej żony i „milutkiej” kobiety.

Miewała jednak chwile, w których przychodziły jej na myśl poważniejsze refleksje.

Na przykład po przeczytaniu *Pani Bovary*, zamknąwszy książkę, usiadła u nóg męża.

W rękę trzymała kawałek *newchatelu*<sup>7</sup>, lecz nie gryzła go, ale pogrążyła się w zadumie.

Mąż, czytając „Kuriera”, nie przerywał ciszy.

– Wiesz, Raku – wyrzekła wreszcie – ta kobieta to zdradzała męża... niegodziwa, prawda?

– Hm – odparł zagadnięty – jeżeli mąż był niedołęga...

Lecz nie mógł dokończyć.

Żabusia porwała się nagle jak szalona.

– To nie upoważnia! – wołała – i ty, Raku, jesteś niedołęgą, a przecież cię nie zdradzam!...

– O – protestował mąż.

– Nie ma... o! Upiec na rożnie taką kobietę... nic jej nie usprawiedliwia... to potworne!... W dodatku pani Bovary miała dziecko, o, takiego Nabuchodonozora!...

I tu Żabusia, porzuciwszy ser, chwyciła w objęcia córkę, która

---

<sup>6</sup> *nicować* – wywracać na drugą stronę. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> *newchatel* – gatunek sera szwajcarskiego. [przypis edytorski]

głośnym krzykiem zaprotestowała przeciw temu gwałtowi.

Rodzice tymczasem spoglądali po sobie.

O, tak! – oni wychowali Żabusię w świętych tradycyjnych przepisach cnoty i surowości. Ona wie, czym się brzydzić na świecie, co jest nikczemnością, fałszem i podłością...

To anioł!

Anioł domowego ogniska, który śmiechem swym troskę z czoła męża spędza, jest chlubą i podporą rodziców, troskliwą i czułą matką!...

To anioł ta Żabusia, kręcąca się w tej chwili po pokoju z szelestem jedwabnego szlafrocza...

Uosobienie wdzięku, miłości, niewinności, cnoty!...

Nagle Żabusia zatrzymuje się w tańcu.

Spogląda na zegar i kołyszając się, z wolna podchodzi ku mężowi.

– Żabusię głowa boli! – mówi, sadzając córkę na kolanach męża. – Żabusia pójdzie na spacer...

– Będę ci towarzyszył... – woła mąż.

– Nie chcę! – protestuje z miluchnym dąsem – pójdę sama! Rak tu zostanie i będzie Nabuchodonozorowi cacka<sup>8</sup> ustawiał!...

– Ależ...

– No! Sprzeciwiasz się?

– Nie... tylko kawa!...

– Pójdiesz, jak wrócę... wtenczas dam ci dziesiątkę, inaczej z czym Rak do cukierni pójdzie?

---

<sup>8</sup> *cacko* – tu: zabawka. [przypis edytorski]

Mąż jeszcze próbuje opozycji.

– Żabusia tak chce! – woła młoda kobieta, uśmiechając się zalotnie. – Żabusia bardzo prosi, główka ją tak boli!...

Rodzice uważają za stosowne interweniować.

– Ależ idź, drogie dziecię!... Przejdź się! – mówi ojciec.

– Pobladłaś, cierpisz widocznie – dodaje matka.

I za chwilę przez pokój, w którym jest zgromadzona cała rodzina, przesuwa się Żabusia w nowym sukienym kostiumiku, okładanym szynszylami.

Wygląda jak młodziuchne dziewczątko w tym obcisłym zakieciku, a nowe buciki skrzypią z każdym krokiem.

Całuje ręce rodziców, mężowi nadstawia usta do pocałunku, córkę głaszcze po głowie i żegnana, obdarzona pieścizotami, staje jeszcze w w progu, przesyłając pocałunki końcami palców, ubranych w duńską rękawiczkę.

– Pa!... pa!... – woła – Pa, Raku, pa, Nabuchodonozorze! ... pa, mamusi i ojczusiowi... a niech Różia za pół godziny po sucharki pójdzie!... pa!!!

I cicho znika we drzwiach, pozostawiając po sobie gamę srebrzystego śmiechu i wspomnienie uosobienia niewinnego wdzięku kobiecego.

\*

Przeciągły pocałunek przerwał ciszę.

Wśród bladego światła przyciemnionej lampy zamajaczyła

nagle drobna postać kobieca, powstająca z otomany.

Kaskada jasnych włosów, rozsypana na zarumienione ramiona, drżała złotawym blaskiem; oczy błyszczącym fosforycznym ogniem migotały u tej kobiety, jak dwa błędne ogniki; usta namiętnie rozchylone, zgniecione w świeżym pocałunku miłosnym, zachowały jeszcze wilgoć zmysłowej ekstazy.

Wszystko w tej postaci tchnęło zmysłowością, szalem bachantki<sup>9</sup> poddającej swą pierś pod uściski satyra<sup>10</sup>.

Stanęła, wyciągając ręce wysoko nad głową, przechylając się w tył, wciągając jakby w siebie cząstkę miłosnego dreszczu.

Stojący przed nią mężczyzna zapalał właśnie papierosa.

– Mogłabyś zostać chwilę.

– O, nie, nie – odparła kobieta – muszę wracać, aby podejrzeń nie ściągać.

I zaczęła szybko nakładać zakieciak i resztę ubrania. On jej pomagał, szukając po całej pracowni porzucanych drobiazgów, które przed chwilą zrywali oboje drżącymi od namiętności rękami.

Kapelusz zapadł gdzieś poza wielkie sztalugi, trzeba było go szukać... odsuwać draperię.

Oczy ich spotkały się, ręce splotły się w uścisku. Cała bezgraniczna zmysłowa potęga zadrgała w tym jednym

---

<sup>9</sup> *bachantka* (mit. rz.) – ogarnięta szalem kobieta z orszaku Bachusa, boga wina. [przypis edytorski]

<sup>10</sup> *satyr* – bożek z kozimi nogami, symbol pożądania. [przypis edytorski]

spojrzeniu. Gorąco aż było od tych dwojga młodych ludzi ukrytych w cieniu odosobnionej pracowni malarskiej na ustronnej ulicy.

– Kiedy cię zobaczę?... – zapytał mężczyzna, cały drżący pod wpływem dotknięcia jej rąk rozpalonych.

Ona wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, kiedy się wyrwę, niełatwo to przychodzi...

On wstrzymywał ją jeszcze, obejmując miłosną pieśczęcią.

– O, ale... niedługo!

Kobieta spojrzała mu znów w oczy.

Zielone błyski strzeliły spod jasnych rzęs...

– Szaleńcze! – wyszeptała zdławionym od wzruszenia głosem – czyż ja mogę istnieć, nie widząc cię dni kilka?...

A do progu już zwrócona, dodała pieśczętliwie:

– Kochaj swoją... Żabusię!...

Portiera<sup>11</sup> zapadła, kobieta znikła pozostawiając po sobie całą smugę płomiennej namiętności drgającej w powietrzu.

Mężczyzna postać chwilę, uśmiechając się jakoś ironicznie.

Po czym otrząsnął się, położył na otomanie i gwizdząc walca, zapalał zgasłego papierosa.

Nabuchodonozor tęsknił bardzo do mamy. Tęsknił i Rak, tęsknili i rodzice siedząc dokoła stołu, na którym nakrywano do herbaty.

Na białym obrusie rozstawiono filiżanki, a stary ojciec

---

<sup>11</sup> *portiera* – zasłona. [przypis edytorski]

upominał pokojówkę:

– A uważaj, aby samowar gotował się dobrze, bo pani pewno zmarznięta powróci...

A matka układała sucharki, chowając lepiej lukrowane na spód, aby tylko dla Żabusi się zostały.

– Zimno jest, gdzie też ona tak długo bawić<sup>12</sup> może? – wyrzekł wreszcie mąż.

– Wstąpiła pewnie do kościoła – w adwent lubi przecież tam chodzić wieczorem – odrzekła matka.

– Jeszcze się zaziębi.

– Bóg ją od złego uchroni!...

Nastało milczenie.

Tylko Nabuchodonozor pociągał noskiem, bo cierpiał na katar okropnie.

Nagle drzwi otwały się z trzaskiem.

We drzwiach stanęła... Żabusia.

Cała była jeszcze różowa, w oczach grały dogasające namiętne blaski.

Wszyscy rzucili się do niej z krzykiem:

– Żabusia!!!

Ona witała kolejno każdego, rozsypując całusy jak grad cukierków. Opowiadała przy tym wiele o zimie i o modlących się ludziach po kościołach.

Organy pięknie grają, świec masy płoną, a Żabusia siedziała w kąciku, a potem na spacer pięknie poszła...

---

<sup>12</sup> *bawić* (daw.) – przebywać. [przypis edytorski]

Zrzuciła zakieciak i przygładziła rozrzucone włosy.

– Herbatki! Prędeż! – wołał ojciec.

– Ja naleję!... – dodawała matka. – Biedactwo przeziębło, gotowa zachorować.

Ale Żabusia siedziała już na kolanach męża i śpiewała:

Jechał pan,

Za nim chłop...

Nabuchodonozor uszczęśliwiony opierał swą główkę o suknię, patrząc w oczy matki, w których gasły kolejno zmysłowe ogniki.

– Masz dziesięć groszy – wołała Żabusia dając mężowi monetę – idź, zabaw się ty teraz... biedny... Raku!

# Koteczek

– Co chcesz do herbatki, koteczku?

– Cokolwiek!...

– Ale przecież!...

– Coś taniego!...

– Może szynki?...

– Hm!... Zaraz trzeba brać pół funta.

– Po co? Dla mnie nie trzeba, ja mam jeszcze pieczeń z obiadu!

– Tak?... Ale zawsze to już duży wydatek, nie! – nie potrzeba.

Zjem bułeczkę z masłem, mnie to wystarczy zupełnie. Zresztą oszczędzać musimy, daleko jeszcze do końca miesiąca...

Młoda kobieta spojrzała z uwielbieniem na męża.

Jej koteczek byłby w stanie zagłodzić się z oszczędności, gdyby ona na to pozwoliła. Prawda, że pensyjka bardzo szczupła, gratyfikacji nie ma podobno żadnych, a procent z jej posagu zaledwie piąty.

Przynajmniej tak koteczek powiada.

A co kotuchno powie – to święte. Żona ślepo ufać powinna mężowi. Tak ją od dziecka uczono.

Tymczasem koteczek przeczytał „Kuriera” i ziewając powstał z krzesła.

Był to wielki, rosły mężczyzna, szeroki w plecach, szeroki w karku, szeroki w czole. Zdrowie, siła biły aż odurzającym

zapachem z tych wspaniale rozwiniętych członków dobrze odżywianego człowieka, twarz mieniła się niemal różową cerą. Jasne, delikatne włosy uczesane dość starannie, zakrywały mu wielką łysinę, usta foremnie wykrojone miały w sobie zmysłową wilgoć, jakby od świeżych jeszcze pocałunków lub połykanych ostryg, oczy senne, o namiętym przywarciu powiek, patrzyły spod jasnych rzęs na w pół łagodnie, na w pół złośliwie.

Ręka biała, zgrabna, o długich kształtnych palcach, gładziła starannie uczesaną brodę, od której z daleka rozchodziła się woń ateńskiej wody.

Ubranie letnie, jasne, zdrowa cera, wreszcie cała postać, wyprostowana, nie zgarbiona, nie skurczona bynajmniej, nie miały cech charakteryzujących zwykłego biuralistę, spleśniałego w cuchnącej atmosferze wilgotnego biura.

Koteczek był wprawdzie urzędnikiem, ale jednym z tych pomocników buchaltera, którzy po biurach kolejowych śpią na ceratowych kanapkach lub zadają tłuste szarady do rozwiązania swym kolegom, za co pobierają pensję, a nawet i gratyfikacje.

Dziś – koteczek wrócił wcześniej trochę z biura, zjadł skromny obiadek, który sam zadysponował, ze smakiem, przespał się dwie godzinki wśród kościelnej ciszy na swej ulubionej sofie, a teraz, ubrawszy się, czytał „Kuriera” i czekał na herbatkę, którą mu żoncia poda.

Później pójdzie przejść się trochę.

Ona zostanie w domu, jutro pranie, bieliznę policzyć trzeba – wreszcie koteczek zwykle sam wychodzi.

Żoncia zostaje, już się do tego przyzwyczaiła. Teraz do herbaty przygotowuje chodząc jak cień w swych biednych, przydeptanych pantofelkach, taka chuda, mizerna, zgnędziała przed czasem. Ma zaledwie dwadzieścia pięć lat, a trudno byłoby oznaczyć jej wiek, patrząc na zapadłe piersi, na żółte plamy dokoła oczu, na nos wąski, wydłużony, na całą postać schyloną w tym bolesnym pochyleniu, właściwym chronicznie cierpiącym kobietom, które zasypiają obłożone mokrymi płatami, a melisę pochłaniają garncami prawie.

I teraz, gdy zdejmuje z półek kredensowych filiżanki i wyciera je czyściuchną serwetką, krzywi się boleśnie, tłumiąc jęk, który jej się na usta wydobywa.

Lekarz mówił, że cierpienie jej pochodzi głównie z braku sił, i zalecił buliony, stare wino, surowe mięso... ba! nawet wyjazd do Krynicy... Ale lekarzowi łatwo mówić. Skądże ona wziąć by mogła na takie zbytkowne rzeczy, ona, której koteczek z najwyższą trudnością zaledwie jest w stanie tę skromną kwotę co pierwszego na utrzymanie domu wręczyć?...

A potem, gdy zabraknie... A! niech Bóg zachowa! Koteczek nie doda ani grosza, choćby głodem zamrzeć przyszło. Pójdzie na spacer bez obiadu, bez herbaty, a nie doda nic, nawet z przyszłego miesiąca nie zaawansuje paru rubli...

Zapewne nie może.

Ona mu tego za złe nie ma. O! Gdzieżby znowu. Gdyby miał, to by dał... Koteczek ma przecież anielskie serce... niedawno kupił jej skórzaną broszeczkę za dwa złote; kiedyś

znowu pozwolił jej... natrzeć włosy wodą ateńską.

O! Gdyby on miał, dodałby jej nieraz do miesięcznej pensji... raz nawet dał jej na to – słowo honoru – choć ona bynajmniej nie żądała takiego dowodu, ona wierzy mu we wszystkim.

Tylko – jakże to można pozwolić, aby koteczek jadł do herbaty samą bułeczkę?!...

Trzeba posłać po szynkę koniecznie, choćby się miał rozniewać, zresztą ona wie, że koteczek pokrzepić się musi, wszak większe pół dnia w biurze pracuje!

A wiadomo, biuro strasznie zdrowie niszczy. Podobno nawet suchoty<sup>13</sup> sprowadza.

Nie!... Bóg by nie był tak nielitościwy i nie zabrałby jej koteczka – nie nawiedziłby go tak strasznym cierpieniem. Tak! Tak! Trzeba, żeby się mężuś lepiej odżywił, trzeba po szynkę posłać koniecznie.

Biegnie do komody, odsuwa szufladę, wyjmuje ostatniego rubla i chwilkę stoi zafrasowana. Cóż będzie z jutrzejszym obiadem?

E! – poradzi sobie, już wie, w jaki sposób. I uśmiechnięta, podskakując trochę, wychodzi do kuchni. Tymczasem stojący przy oknie mężczyzna odwrócił się i skrzypiąc butami przeszedł przez pokój. Dobył z kieszonki od kamizelki kluczyk, otworzył małą szafkę i spomiędzy porządnie poukładanego ubrania wy dostał niewielki pugilares<sup>14</sup>. W pugilaresiku tym szeleściły

---

<sup>13</sup> *suchoty* (daw.) – gruźlica. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> *pugilares* (daw.) – portfel. [przypis edytorski]

banknoty. Otworzył go i spiesznie przerachował. Było tam około pięćdziesięciu rubli. Pugilares schował do kieszeni, wyjął cieniuchną chusteczkę, z baletniczkami po rogach zamiast monogramu, zmienił szpilkę u krawata, po czym zamknąwszy szafkę podszedł do toaletki.

Systematycznie zaczął czesać rzadkie włosy, przyciskając je lekko do różowej skóry, po czym wyjąwszy z szuflady puszkę z pudrem pudrował się lekko, starannie ścierając welutynę z brwi, rzęs i wąsów. Puder osiadł na lekkim meszku, pokrywając policzki koteczka, tworząc w ten sposób na twarzy mężczyzny jakby krepową zasłonę. Po czym lekkim a wprawnym ruchem koteczek przyczernił sobie brwi i rzęsy za pomocą ołówka i odsunąwszy się od lustra, począł rozmaite podbójcze miny próbować.

Od kilku chwil otworzyły się cicho drzwi od kuchni i do pokoju wsunęła się żoncia.

W ręce trzymała szynkę zawiniętą w papier i w niemym uwielbieniu spojrzawszy na męża stanęła, przyciskając szynkę do piersi.

Wydawał się jej w tej chwili tak piękny, tak elegancki, tyle od niej wyższy dystynkcją i rozumem, i pięknnością, że wciąż stała zapatrzona w swoje bóstwo fryzujące sobie teraz wąsy maluchnym, rozgrzanym żelazkiem.

On, spojrzawszy przypadkowo na nią, dojrzał to uwielbienie malujące się w jej spłowiejących oczach.

– Hm, patrz! jakiego masz męża – rzekł z zadowoleniem.

Ona nie odpowiedziała nic.

Uśmiechała się tylko, prostując się także, jakby z dumy... urosnąć chciała.

– Możesz mnie pocałować – dodał z pobłażliwością – ale tu w szyję... o!...

Wyciągnął swą tłustą szyję dobrze zbudowanego blondyna i przytknął oczy z dobrotliwym uśmiechem.

Ona zbliżyła się szybko, zmieszana, niezgrabna, nie przyzwyczajona do częstych tego rodzaju pieszczot. Gdy znalazła się tuż przy nim, tak nędzna, mała, chuda, zmieszła się jeszcze więcej.

W lustrze widziała odbicie postaci swej i stojącego wciąż ze zmrużonymi oczyma męża.

Zawstydziła się samej siebie, swego wyniszczenia, swego skromnego szlafroka i stała niezdecydowana, cisnąc wciąż papier z szynką do zapadłej piersi.

Lecz on zniecierpliwiał się wreszcie.

– No, korzystaj, kiedy pozwalam...

Podniosła się więc na palce i cała spłoniona pocałowała go w kłapę od jasnego zakietu, a silna woń *white rose*<sup>15</sup>, wydzielająca się z ubrania męża, odurzała ją do reszty.

Jak pijana zwróciła się do stołu, na którym zaczęła ustawiać talerzyk i rozkładać na nim szynkę.

Ręce jej drżały, widelca utrzymać nie mogła.

Była w tej chwili bardzo szczęśliwa.

---

<sup>15</sup> *white rose* (ang.) – biała róża (tu: nazwa perfum). [przypis edytorski]

Łzy jej oczy osłaniały mgłą wilgotną, serce biło w piersi bardzo żywo.

Tymczasem koteczek nałożył w eleganckie etui całą masę papierosów i z małej doniczki niezapominajek, stojącej przed obrazem Matki Boskiej, uszczknął gałązkę.

Gałązkę tę zatknął sobie w butonierkę i zasiadł do herbaty.

Żona podała mu filiżankę i nasmarowaną bułeczkę. Po czym, jeszcze cała zmieszana, z uśmiechem na pobladłych wargach, podsunęła mu talerzyk z szynką.

On – ze zdziwieniem poruszył umalowanymi brwiami.

– Szynka? – zapytał.

– Tak, kotku – proszę cię, jedz! – odpowiedziała nieśmiało.

– Zbytki! Zbytki!... – dodał, biorąc na talerz największy różowy płatek. – Ale pamiętaj! Gdy zabraknie, nie dodam ani grosza! Ani grosza!

Lecz ona zaprotestowała.

– Nie bój się, wystarczy!... Jedz tylko! Proszę cię!

Krzątała się koło niego, podsuwając mu cukier, masło, śmietankę.

On – nawet nie zważał na tę usługę, snadź<sup>16</sup> przyzwyczajony do tej troskliwości i niewolniczej czci, jaką go zwykle otaczała.

Jadł powoli, nie spiesząc się, odsuwając z daleka talerz z gracją i manierami aktorki, o której gazety piszą ciągle, że jest „dystygowana”. Wreszcie zapytał, nie podnosząc głowy:

---

<sup>16</sup> *snadź* (daw.) – widocznie. [przypis edytorski]

– A ty?

– O, ja mam co innego – odpowiedziała kobieta.

Nastąpiła znów chwila milczenia.

Jakże chętnie pragnęła żoncia zacząć jaką dłuższą z swym koteczkiem rozmowę.

Lecz o czym – o czym ona mówić mogła, pogrążona cała w drobnych kłopotach swego nędznego gospodarstwa, pomiędzy imbrykiem melisy a wiązką rzodkiewki? Instynktem zgadywała, że podobne przedmioty nie są odpowiednie dla jej eleganckiego koteczka, który w tej chwili tak delikatnie, tak ślicznie mieszał łyżką herbatę.

I w głowie tej kobiety powstała myśl bardzo zuchwała.

Gdyby tak koteczek zechciał dziś cały wieczór poświęcić dla niej, dla niej wyłącznie pozostać w domu!

Gorąco jej biło do głowy na samą tę myśl... jakże to byłoby miły dla niej wieczór! Jakże jej szczęście byłoby zupełne!...

Ma wprawdzie liczyć brudną bieliznę, ale może to odłożyć do jutra...

Siedzi więc pochylona nad swoją filiżanką i w biednej głowie szuka zawzięcie sposobu, aby stać się miłą, rozmowną.

Wzrok jej pada na leżący na ziemi „Kurierek”.

– Co tam w „Kurierku”? – zapytuje niepewnym głosem.

– Przeczytasz sama – odpowiedział mąż. I znów nastaje milczenie.

Kobieta prawie rozpaczliwie wodzi wzrokiem dokoła.

Tak mają mało spójni moralnej, że wszystkie jej wysiłki

pozostają bez skutku. Wreszcie on wstaje, ociera starannie wąsy i raz jeszcze podchodzi do lustra.

Ona wie dobrze, co to znaczy.

Za chwilę koteczek wyjdzie, a ona zostanie sama! Na cały wieczór, na długi, smutny wieczór.

Zapewne – jest do tego przyzwyczajona, ale dziś szczególnie jej smutno. Wszak to dziś rocznica ich ślubu...

On o tym zapomniał zupełnie...

Lecz ona nie zapomniała i chce mu to powiedzieć, wszak dzień taki to prawie uroczyste święto... Lecz on wziął już kapelusz i elegancką laseczkę, teraz naciąga rękawiczki, pogwizdując lekko. Żona zbliża się ku niemu, przełykając z trudnością ślinę.

– Wychodzisz? – pyta, patrząc mu błagalnie w oczy, jak pies świeżo obity.

– Naturalnie!...

Ona przestępuje z nogi na nogę, ręce jej machinalnie wyciągają bryty szlafroka.

– Zostań w domu – prosi cichutko.

On odwraca ze zdziwieniem głowę.

– Po co?

Tym jednym pytaniem przybija ją do miejsca.

Tak! Prawda! Po co?

Taki strojny, mądry, piękny mężczyzna ma siedzieć w tych trzech klatkach, których okna wychodzą na odludną ulicę...

Ona – ach! Ona to co innego!

Pragnie go jednak zatrzymać choćby chwilę jeszcze.

– A... co chcesz jutro na obiad? – pyta śpiesznie, wciskając głowę między ramiona.

– A!... co chcesz, byle tanie – odpowiada koteczek, otwierając drzwi do przedpokoju – najlepiej barszczyk, bo może późno wrócę...

Ona już nic nie odpowiada, tylko stoi na środku pokoju, smutna, zgnębiona – ujawniając w ostatnich blaskach zachodzącego słońca swą nędzę opuszczonej i oszukiwanej kobiety.

Nagle – porywa się i biegnie do okna.

On – będzie przechodził przez dziedziniec, zobaczy go jeszcze, może się uśmiechnie do niej, głowę odwróci...

– Nie!

Przeszedł przez dziedziniec pewnym i śmiałym krokiem, wywijając laseczką i pogwizdując lekko.

Dwie dziewczyny stojące koło pompy obejrzały się za nim ze znaczącym uśmiechem. Zniknął w ciemnej bramie, nie myśląc wcale o tym, że na drugim piętrze spoza białych pocerowanych firanek śledzą go oczy pełne łez i miłości, biedne oczy schorowanej kobiety, a zżółkłe i spieczone usta szepczą z dumą i niewysłowionym uczuciem:

– Koteczek! Koteczek!

Siedziała tak w oknie z pół godziny. Była to jedyna chwila dnia, w której oddawała się próżnowaniu.

Wciągała zgniłe powietrze podwórka pełnymi piersiami i wpatrywała się w szmat nieba, który zarysował się ostro pomiędzy szczytami dachów.

W trakcie tego robiła myślą rachunek wydatków dnia całego i układała budżet na dzień następnny.

A wszystkie jej myśli kręciły się tylko około jednego punktu. Punktem tym był naturalnie... koteczek.

Od pierwszej chwili poznania rosły ten blondyn zaimponował jej i oczarował jej dziewczęcą istotę.

Gdy się oświadczył o nią, a właściwie o jej skromny posążek, nie mogła szczęściu swemu dać wiary.

Gdy odchodziła od ołtarza, już patrzyła na niego tym pokornym, błagającym wzrokiem, jak pies, którego po raz pierwszy na łańcuchu prowadzą.

Oddała mu się z pokorą i wdzięcznością, kryjąc rumieniec w dłoniach i szepcząc: „Kto się w opiekę”.

On – wspaniale, jak dobry książę z bajki, przyjął klejnot jej dziewictwa i pięć tysięcy rubli, które jako sierota złożone miała w kasie oszczędności.

Od tej chwili Józia o pieniądzach tych nie wiedziała nic.

Należały do niego, rozporządzał nimi według upodobania.

Ona welon oblubienicy zamieniła na fartuch ceratowy i rozpoczęła swą domową krzątalinę. Powoli on oddalał się coraz więcej z domu – wracał późno w noc, często podpity, włócząc na drugi dzień po kątach mieszkania ten „katzenjammer”, w zamiejskich knajpach nabyty. Ona kochała go ciągle tym

psim przywiązaniem kobiety, dla której pierwszy mężczyzna chwytający ją w objęcia jest zarazem jedynym przedmiotem uwielbienia.

Koteczek nie miał błędów, koteczek był najlepszym, najmiłym, najpiękniejszym... Dzień, w którym koteczek kładł nowy garnitur, był dniem prawdziwego święta.

Wzruszona, zarumieniona, drżąca okrążała go w kółko, patrząc na niego z podziwem. Jakże piękny i jak zgrabny był jej koteczek!... Ona sama, mój Boże!... ona nie potrzebowała się stroić. Ot, byle co na siebie włożyć. Zresztą nigdzie przecież nie wychodziła z koteczkiem, nigdy – gdzie znowu!... Zawsze jej coś do stroju brakowało. To kapelusza, to bucika, to znów rękawiczki. I tak dzień za dniem schodził. Zresztą nie miała czasu ani zdrowia. Ciągle stękała, chorując już od lat czterech, zaraz po urodzeniu nieżywej dziewczynki. Doktor mówił, że to anemia, ale ona nawet w części nie powiedziała doktorowi, co i gdzie ją boli. Po co? Lekarstwa drogie, a ledwo koniec z końcem ściągnąć można...

Wprawdzie koteczek jest niewybredny, je, co mu podadzą – nawet ją samą do oszczędności zachęca.

Ona nieraz dziwi się, jak mało jada w domu ten rosły, wielki mężczyzna, i frasuje się, że widocznie jadło mu nie smakuje.

Mój Boże! Robi, co można przecież. Ona i sługa jadają „plecówkę”, dla koteczka bierze się na rosół pierwszą krzyżową, masło także kupuje dla niego osobno...

Mimo to on je tak mało!

Byleby nie zachorował z tego braku apetytu... jutro trzeba upiec parę kurcząt i zrobić trochę sałaty...

Ostatni rubel wprawdzie wyszedł, ale Józia ma jeszcze dwa pierścioneczki z pozostałych po rodzicach drobiazgów.

Zastawi je u znajomej fanciarki i dociągnie w ten sposób do końca miesiąca.

Mój Boże!... Ile tam już rzeczy Józii spoczywa u tej fanciarki! I srebrne łyżeczki, i bransoletki po matce, i medalion z perełką, ba! nawet medal od chrztu, i srebrna portmonetka, złoty zegarek! Łańcuszek! Wszystko wyniosła tak wieczorami, gdy mąż wyszedł z domu, „przejsć się trochę” – jak mówił – a wracał późno w noc, gwizdząc i śpiewając jakieś nie znane Józii piosenki.

Z początku przykro jej było rozstawać się z tymi drobiazgami, później oswoiła się z tą myślą.

Wszak to dla... koteczka.

Kochała go bardzo, bardzo, miłością schorowanej i zamkniętej w domu kobiety. Gdy słyszała jego kroki na schodach, serce jej biło bardzo silnie – w nocy nie kładła się nigdy, dopóki nie wrócił. Rozbierała się wprawdzie, ale bosa i w koszuli siedziała przy oknie, patrząc w ciemną jamę bramy, czy nie dojrzy wysuwającej się z ciemności eleganckiej postaci męża. Gdy nie wracał długo, z najwyższym niepokojem śledziła godziny i przyciskając ręce do piersi, szeptała:

– Boże mój! Niech on już wróci!...

Zdawać by się mogło, że to namiętna kochanka oczekuje

swego wybranego na pierwszą schadzke miłosną – jednak!... jakże dalekie od namiętności było uczucie kładące w spieczone od gorączki wargi tej kobiety modlitwę szczerą, prawie dziecięcą.

– Niech... koteczek wróci!...

A potem ten powrót koteczka nie dawał jej żadnej pieszczoty miłosnej, żadnej chwili tej rozpaczliwej rozkoszy, która jęk prawie z piersi kobiety wydiera.

Koteczek wchodził wolno, systematycznie, nakręcał zegarek, zapalał papierosa, zmieniał obuwie, wystawiając je za drzwi pokoiku, wyciągał z krawata elegancką szpilkę i chował ją w etui.

Wszystko to robił z właściwą sobie gracją, nie spojrzawszy nawet na żonę, która spoza przymkniętych powiek śledziła jego czynności, cała w ciągłym wyczekiwaniu jakiegoś dobrego słowa, przyjaznego spojrzenia ze strony męża. Nic, nic!

Koteczek zasypiał, uśmiechając się do wrażeń w ciągu wieczora otrzymanych, do jakichś wspomnień... na myśl których przeciągał się rozkosznie.

Ona śledziła go ciągle, śledziła uważnie.

Słabe światelko lampki płonącej przed Matką Boską oświecało w zupełności różową twarz mężczyzny, lubieżny wyraz ust, tęgą szyję wychylającą się spod ukraińskich haftów nocnej koszuli.

Instynkt samicy ostrzegał ją, że nie o niej, nie o jej uległości i żółtkłej twarzy myśli w tej chwili ten człowiek.

Lecz tak wierzyła mu, tak bardzo ufała w jego „małżeńską

uczciwość”, że myśl zdrady nie powstała nigdy w jej głowie.

Myśli pewnie o gratyfikacji, a może... może o niej!

Wszak wczoraj jeszcze, wychodząc, powiedział:

– Dla kogoż się zapracowuję, jeśli nie dla ciebie? – Biedny!

Drogi koteczek!...

Ach! Ona by życie swoje dla niego oddała!

I leżała tak cicho, nie śmiejąc się poruszyć, drętwiejąc w jednej pozycji, aby nie zbudzić koteczka, który w tej chwili uśmiechał się, jak tylko nasyceni mężczyźni uśmiechać się umieją!

Kareta ruszyła wreszcie z miejsca.

Lecz pani Lena była dnia tego w złym humorze.

Na próżno siedzący obok niej mężczyzna uśmiechał się i usiłował umieścić dogodnie jej kapelusz, cały z brązowego tiulu, istne piścidełko wydmuchane z purpurowego obłoczka. Na próżno, zdjęwszy jej rękawiczki, zwijał je starannie i wsuwał pomiędzy poduszki powozu, na próżno chwalił jej nowy dolman<sup>17</sup>, na który wyszło z pięćset łokci koronki; ona siedziała ciągle chmurna, z brwiami ściągniętymi, z twarzą gniewnie wykrzywianą.

– Dlaczego tak późno przyjechałeś? – zapytała wreszcie, zwracając się twarzą do swego towarzysza.

– Nie mogłem! Wierz mi! – tłumaczył się mężczyzna.

– Dlaczego?

---

<sup>17</sup> *dolman* – turecki a. węgierski strój pod kurtkę. [przypis edytorski]

– Bo!... bo!... mieliśmy gości!... – odparł, udając nonszalancję i oglądając sobie paznokcie.

Znać było, że blaguje, lecz ona nie poznała się na tym.

– Kto był? – nalegała już trochę udobruchana. – Kobiety?

– O, zaledwie kilka! Kuzynka Esterghazy z córką, wiesz... ta hrabina!

Ona potwierdziła spieszenie.

– Tak! Tak! Mówiłeś już mi o niej, a z mężczyzn?

– Zwyczajni goście czwartkowi.

– Więc to *jour fixe*<sup>18</sup>?

– Tak!... *five o'clock tea*<sup>19</sup>.

Rzucił wyraz angielski, posłyszany kiedyś ze sceny w teatrze, który zapamiętał i używał w razie potrzeby, co nigdy nie chybiało efektu. I teraz dosięgnął celu.

Kobieta siedząca obok niego zdawała się na chwilę przybita posłyszonym słowem.

Lecz prędko odzyskała równowagę.

– Nie wiem, czy to wygodne – wyrzekła – wolę już urządzić *receptions matinales*<sup>20</sup>...

Spojrzała na niego triumfująco.

On wzruszył ramionami.

– Zapewne, lecz już cały dzień jest zderanżowany<sup>21</sup>.

---

<sup>18</sup> *jour fixe* (fr.) – przyjęcie. [przypis edytorski]

<sup>19</sup> *five o'clock tea* (ang.) – herbata o piątej. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *receptions matinales* (fr.) – poranne przyjęcia. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *zderanżowany* (z fr.) – tu: zdeorganizowany. [przypis edytorski]

Pochylił się teraz nad podbitą już kobietą.

– No, cóż?... darujesz mi to opóźnienie? – szeptał miękkiem głosem – wierz mi, tylko obowiązki światowe mogły powstrzymać twego koteczka; wierzysz mi? No... Leno!...

I objął ją ostrożnie, cofając się w tył, gdyż karetka skręcała w ciaśniejszą ulicę, a na chodnikach kręciło się sporo przechodniów.

Lena potrzęsnęła wspaniałomyślnie głową. Dobrze! Przebacza mu, ale pod warunkiem, że to będzie raz ostatni... zapewne nie wie, że i ona ma obowiązki światowe, które trzymają ją poniekąd na uwięzi; jeśli on ma żonę prowadzącą dom otwarty, ona nawzajem ma męża, który od niej pewnych ustępstw światowych wymaga, a przecież...

On przyznaje jej rację, cały rozplómienny tak bliską obecnością tej kobiety, której pełny gors i błyszczące oczy działają na niego jak rozpalający trunek – ostrożnie, delikatnie szuka jej ręki w całych falach koronek i rękę tę znalazłszy całuje długo, wysysając paluszki o krogulczo zagiętych paznokciach.

Ona poddaje się tej pieszczocie, jak kobieta przyzwyczajona do podobnego rodzaju objawów powstrzymywanej namiętności, drugą ręką zasłania sobie twarz, gdy karetka nadto się zbliży do chodników.

Czyni to z wprawą wielką, w ogóle czuje się zupełnie swobodnie w tej ciasnej atmosferze powozu, w której cudzołóżne szepty, śmiechy, pocałunki zdają się drzemać wśród zagięć zniszczonego sukna okrywającego poduszki.

– Gdzie dziś pojedziemy? – pyta koteczek.

– Gdzie chcesz... – odpowiada Lena – byle nie do Marcelina.

– Masz rację, kuchnia tam wcale<sup>22</sup> nieszczególna.

– O, tak! Bordeaux niepodobne do picia...

I znów zaczyna grać ze sobą komedię tych dwoje ludzi, którzy się poznali pod cieniem drzew Saskiego Ogrodu i nic prawie nie wiedzieli o sobie ani o swej pozycji socjalnej.

Ona – miała w sobie popsutą krew trzydziestoletniej kobiety, wiecznie niezadowolonej ze swego otoczenia, obnoszącej w czarnych oczach i pełnych kształtach chęć nieprawych rozkoszy i zakazanych wycieczek. Pozowała jednak przed nim na „dame” – wykwintną i wytworną – pragnęła mu imponować koronkami, wziętymi na kredyt, i francuszczyzną, zapożyczoną z *Rozmówek* pani Bocquel.

On – dokładał wszelkich usiłowań, aby ujść w oczach tej wykwintnej damy za człowieka bogatego, prowadzącego dom na wielką skalę. Olśniewał ją szpilkami u krawatów, jasnymi garniturami i znajomością gabinetów restauracyjnych, po których włóczyli się często, siedząc do późnej nocy i rozstając się w pełni niesmaku i chęci ponownego zejścia się, aby nawzajem udawać przed sobą wytworne maniery i... namiętne porywy.

Kareta wjechała teraz w ulicę Mokotowską i powoli skręcała na lewo.

Wozy z beczkami zastąpiły jej drogę, woźnica wstrzymał

---

<sup>22</sup> wcale (daw.) – całkiem. [przypis edytorski]

konie na chwilę.

Koteczek wychylił głowę.

– Cóż tam? Dlaczego stajesz?

Nagle cofnął się w głąb powozu.

Towarzyszka mimo woli spojrzała w otwarte okienko.

Na chodniku, pomiędzy gromadką bosych dzieci czekających na opróżnienie ulicy, stała ciemno, ubogo ubrana kobieta w zniszczonym kapelusiku na pochylonej głowie.

W tej chwili kobieta ta z wyrazem zdumienia na pożółkłej twarzy wpatrywała się w okienko karety, a z w pół otwartych ust zdawał się ulatywać jakiś głos stłumiony.

Pani Lena odwróciła się i spytała szybko:

– Patrz!... Ta kobieta dziwnie tu spogląda, czy może znasz ją?

Lecz mężczyzna nie ruszył się nawet, przytulony do kąta karety, nikczemny, nędzny w tej trwodze, jaka zwykle ogarnia każdego z nich na widok zdradzonej kobiety.

– Siedz spokojnie! – wyrzekł – to szwaczka mojej żony!...

Kareta ruszyła wreszcie z miejsca, obryzgując błotem stojącą na chodniku kobietę.

Ona patrzyła jeszcze długą chwilę, zdumiona, przerażona, powtarzając cichutko:

– Koteczek? Koteczek?

Lampka przed Matką Boską dopalała się prawie, a nikt nie myślał o dolaniu oliwy.

Cicho było bardzo w sypialnym pokoiku. Obydwa łóżka małżeńskie były próżne, choć już druga wybiła na kuchennym

zegarze.

Józia, bosy i w koszuli, siedziała skulona na oknie, czekając na powrót męża.

Była bardzo wzburzona, niespokojna, smutna. Wszakże to wracając od fanciarki dostrzegła w karecie obok jakiejś ładnej kobiety mężczyznę tak bardzo podobnego do koteczka!

Lecz cóż by jej koteczek robił w karecie o tej porze i to jeszcze z jakąś damą?... A może to dyrektorowa biura spotkała go i wzięła na przechadzkę...

Szukała teraz w swojej biednej głowie rozmaitych kombinacji, potykając się co chwila o jakąś myśl zbyt trudną...

Nie – stanowczo zrozumieć tego nie mogła.

By mąż ją zdradzał – nie przeszło jej nawet przez głowę, jej koteczek, skądże znowu?

Zanadto czystą, niewinną była w swym zastoju moralnym; zdradzać? – tak!!! Tak! To istnieje w książkach, na scenie, ale w życiu!...

Gdy przyszła od fanciarki, policzyła bieliznę, pocerowała skarpetki, zrobiła rachunek ze służącą, zadysponowała obiad, a teraz, posławszy łóżka, usiadła w oknie, czekając męża.

Noc zapadła, noc ciemna, wietrzna, chłodna. Z zacienionego dziedzińca, po zamknięciu bramy wzbił się w górę silny zaduch wylewanych przez dzień nieczystości.

Ona – otworzyła lufcik i przechyliła swą biedną, znękaną głowę. Smrodliwe powietrze owiało ją. Ona – nie czuła tego zaduchu, przyzwyczajona do tej atmosfery, którą wciągała

w siebie nocami całymi. Przechyliła głowę i patrzyła wciąż w czarną przepaść podwórka.

Czekała.

Lecz on nie wracał, rozkoszując się w tej chwili wonią rozkwitłego bzu w podmiejskim ogrodzie i ciepłymi wargami kochanki, z których zbierał krople wina i słodycz kompotowego syropu.

Siedzącej w lufciku kobiecie wiatr rozwiewał rzadkie włosy i ziębił plecy. Ona – skurczyła się jeszcze bardziej, podsuwając pod siebie chude, żółtłe nogi.

Jeść się jej chciało, obejrzała się na kredensową szafkę majaczącą w półcieniu. Była tam wprawdzie pieczeń pozostała z obiadu, ale koteczek dysponował barszczyk na jutrzejszy obiad, z pieczeni będą uszka... nie można więc poruszyć, nie można!...

Józia zwinęła się teraz prawie w kłębek i głowę smutnie zwiesiła.

Jakoś jej tak smutno! Tak bardzo, bardzo smutno, jak nigdy nie było!

Dlaczego?

Wszak on wraca tak codziennie, wraca późno, a ona czeka nań i zimą, i latem, skurczona przy szybie, pełna niewytłumaczonej chęci ujżenia go powracającego.

Zegary miejskie biją wpół do trzeciej.

Na twarzy Józki płyną dwie wielkie, gorące łzy, zamiast serca czuje, że jej się otwiera rana... rana ta piecze, boli, pali jakby zarzewie... a wynędzniałe usta szepczą:

– Boże!... Niech koteczek wróci!...

Jej koteczek.

# Koziół ofiarny

Pan Wentzel zmarszczył brwi i położył kanciastą linię obok siebie.

– Proszę o spokój! – wyrzekł ochryplym głosem.

– Oko brandenburskie! – odpowiedział natychmiast Julusiek.

– Z perską źrenicą – dorzucił Marian, pakując ręce w kieszenie od spodni.

Pan Wentzel podniósł swą spiczastą głowę, pokrytą najęzonym włosom, i spojrzał na porozkładane na krzesłach dzieci.

– Proszę o spokój! – powtórzył, a wargi wybladłych ust drżały mu jak w febrze.

– Patrzcie... panu „Wentzlemu” spuchła z lewej strony twarz – zawołał Julusiek, mrużąc powieki.

– To od tych papierosów, które po kryjomu pali, a nam nawet zaciągnąć się nie da – odparł flegmatycznie Marian, obserwując z ironią wychudłe policzki nauczyciela.

Panu Wentzlowi krew uderzyła do głowy.

– Nie palę papierosów – wyrzekł energicznie – nie wmawiajcie we mnie złych czynów, które sami spełniacie.

Julusiek wzruszył ramionami. Marian wpakował ręce jeszcze głębiej w kieszenie.

– Nie palisz pan? – zapytał, wydymając czerwone i pełne policzki. – Phi!... to taka prawda, jak to, że pan atramentem

dziur w butach sobie nie czernisz... Zaprzecz pan temu!

– Zaprzecz pan temu! – zaskrzeczał, jak mały psiak, Julusiek i w ekstazie triumfu usiadł na stole, gdy tymczasem Marian wciąż kołysał się na krześle, patrząc spod oka na nauczyciela.

Pan Wentzel był przybity.

Rzeczywiście, nie dalej jak wczoraj smarował rano bielące się wśród czarnej skóry butów skarpetki... smarował atramentem, aby nie przeświecały zanadto, gdy wejdzie do sali jadalnej lub salonu.

Milcząc ujął w rękę jedną z ciemnooprawnych książek, których stopy leżały na stole.

– Zaczniemy wykłady od *Historii świętej* – rzekł cichym głosem.

Lecz Julusiek pragnął nasycić się swym triumfem i cały włożył na stół, strącając zabłoconymi nogami książki i zeszyty na ziemię.

– Wziąłeś pan patyk... o, tak!... Umaczałeś pan w atramencie i smarowałeś pan buty...

Pan Wentzel pobladł jeszcze bardziej.

– Proszę zleźć ze stołu i usiąść przyzwoicie, inaczej przerwę lekcję...

– Wielka będzie szkoda... – mruknął Marian.

Julusiek odsunął się trochę i podwinął nogi pod siebie.

– Jedź pan – wyrzekł – mnie to nie przeszkadza, ja i tak mogę pańskiego bajdurzenia słuchać.

Pan Wentzel otworzył książkę i powoli zaczął przewracać

kartki ozdobione rycinami.

– Skończyliśmy na Samsonie i ucięciu włosów – zaczął połykając ślinę – wiecie, że uczyniła to Dalila i...

Na twarzach chłopców pojawił się dziwny wyraz.

– Musiała to być szykowna kobieta – mruknął Julusiek, uśmiechając się rozkosznie. – Prawda, Marian?

Lecz Marian zwrócił się teraz ku panu Wentzlowi i patrząc wprost na twarz nauczyciela – zapytał.

– Jak pan sądzi? Brunetka była? Co?

– Nie wiem! – odparł nauczyciel.

– Daj pokój, Marianie!... – wrzasnął Julusiek. – Albo on się zna na tym!

– Hm!... – odrzekł Marian – jest przecież mężczyzną.

– E! Taki tam! Boże się zmiłuj!...

Pan Wentzel zerwał się z miejsca.

– Cicho! – krzyknął uderzając książką o stół. – Cicho!... bo...

Głos uwiązał mu w gardle.

Marian i Julusiek, mrużąc oczy, przypatrywali mu się impertynencko.

Tyle ironii mieściło się w wyrazie twarzy tych przedwcześnie rozwiniętych dzieci, że nauczyciel najczęściej czuł swą sztuczną energię jakby zmrożoną i w głębi serca doznawał dziwnego ściśnienia, które mu dotkliwy ból sprawiało. Czuł swą bezsilność i milknął połykając łzy i upokorzenie.

Tych dwóch malców w kraciastych kurtkach, nie dorastających mu do nosa, tyranizowało go i kark mu do ziemi

chyliło.

Co począć miał?

Podszedł do okna i machinalnie otworzył lufcik. Świeże wiosenne powietrze wpłynęło nagle do pokoju...

Wentzel cofnął się od okna, jakby nagle upojony...

Przymknął oczy i stał tak blady, nędzny w smudze świetlanej, która kładła żółte i białe tony na twarz jego znędzniałą.

– Może byś pan kończył lekcję!... – odezwał się nagle Marian, znudzony milczeniem nauczyciela.

– To się wie – dorzucił Julusiek – pan zbijasz bąki jak jaki radca. Nic pan w lufciku nie wystoisz! Jeszcze panu oko spuchnie! – Pan Wentzel powoli odwrócił się i zbliżył się do stołu. Na twarzy jego malowała się smutna rezygnacja. Usiadł na krześle i unikając spojrzenia w twarze chłopców, rozpoczął wykład:

– Wiecie, że Samson był bardzo silny, wiecie, że gdy oparł się o kolumny świątyni, ramionami wstrząsnął, kolumny w gruzy się rozsypały i dach cały runął...

– Albo to prawda – przerwał Julusiek uśmiechając się sceptycznie.

Marian poprzestał na ironicznym wzruszeniu ramionami.

Pan Wentzel ciągnął dalej:

– Dach cały runął, przygniatając zgromadzone tłumy. W ten sposób więc nieprzyjaciele Samsona...

– E, to taka prawda jak to, że Ewa jabłko zjadła... – przerwał znów Julusiek.

– Pokonani zostali... – brzmiał głos nauczyciela.

Teraz Marian poruszył się na krześle.

– A Adam ogryzkiem się udławił... – wyrzekł śpiewającym głosem.

– I gdyby nie Dalila, która...

Lecz już słowa pana Wentzla brzmiały jedynie chyba dla niego samego. Dzieci, pobudzone w swej przekornej wesołości, jak piłkę odrzucały sobie wzajemnie legendy, podawane im przez nauczyciela za fakt. Dla nich, dla tych rozbudzonych przedwcześnie umysłów, nie istniał już żaden urok naiwnej wiary – ze śmiechem i drwinami szarpali treść *Pisma*, nie mogąc jeszcze zrozumieć przenośni.

Pod gradem tych słów wyziewanych przez drobne, dziecięce usta, które zda się stworzone były do szeptania modlitwy, pan Wentzel siedział przybity, bezsilny, z głową na piersi zwieszoną. Codziennie powtarzało się to samo.

Codziennie nauczyciel i jego słowa były przedmiotem szyderstw, żartów i śmiechu.

Julusiek leżał już teraz na stole, wywijając z radości nogami, Marian napawał się spokojnym triumfem i pełen nieopisanej błogości wydymał usta do niebywałych rozmiarów.

– Jak tam było z tym Noem? Opowiedz pan, panie Wentzel!

– Albo z tym Dawidem!

– A Zuzanna? Co?...

Płomienie przebiegały zmysłową twarz Mariana.

– Tak! Tak!... Zuzanna!... To pyszny kawał!...

I nagle, ni stąd, ni zowąd, rozlega się z piersi dzieci wrzaskliwy śpiew:

Hopsztynder!... Madaliński  
Fiuta!... z kopyta!...  
Szara, ciach, ciach! Tańczy sobie  
Z Barabaszem mazura!...

– Proszę o spokój!... – jęczy błagalnie pan Wentzel.

Hej kolęda!... kolęda!...  
Podobał się Jewie! Jeździ na cholewie,  
A boso go znać!... znać!... znać!...

Pan Wentzel głowę ukrył w dłonie.

A boso go znać!...

Lecz nagle drzwi się otwierają i dwie postacie kobiece ukazują się w progu.

– Co się tu dzieje? – pyta pani domu, chuda, płaska blondynka, nosząca na schylonych ramionach fałdziste szaty wdowie.

– *C'est atrocé*<sup>23</sup>! – odzywa się druga, odpinając żwawo guziki zniszczonego płaszczyka.

– Panie Wentzel, jak pan możesz pozwolić na coś podobnego?!

---

<sup>23</sup> *C'est atrocé* (fr.) – to okropne. [przypis edytorski]

Pan Wentzel powstał już z krzesła i w milczeniu układa książki i zeszyty. Czuje, że wszystko, co powie na swoje usprawiedliwienie, na nic się nie przyda.

W przekonaniu matki „dzieci” są trochę rozpuszczone, ale ostatecznie można na nich lekarstwo znaleźć i do posłuszeństwa doprowadzić.

Wprawdzie ona sama nigdy dokazać tej sztuki nie mogła, ale... przecież... pan Wentzel jest mężczyzną! Powinien umieć nakazać szacunek dla swoich słów i osoby.

Więc – słodkokwaśnym głosem mówi to wszystko, a słowa jej jak uderzenia bicia smagają zboląłą głowę nauczyciela.

Tak! Tak!... Pani ma zapewne rację – każdy inny na jego miejscu poradziłby sobie z pewnością, tylko on! On! Nie wie, nie umie poskromić swych uczniów, nakazać ciszę i potrzebny spokój.

– Uważasz pan... – ciągnie dalej pani Szymczyńska, a głos jej płynie łagodnie jak szmer strumyka – Julusiek i Marian są dzieci wyjątkowe, należy więc z nimi postępować w wyjątkowy sposób. Tymczasem pan!

Wyjątkowe dzieci z niezrównaną ironią spoglądają na pana Wentzla, który zmieszany, drżący, spłoniony, szorując nogami po podłodze, ustępuje przy stole miejsca guwernantce, która – wytarty płaszczyk ostrożnie na łóżku Julusia złożywszy – przystępuje do krzesła z bardzo wojowniczą miną.

Matka tymczasem zachwyconym wzrokiem ogarnia pełne policzki Mariana i żółtą głowę Juluśka, który zdecydował się

wreszcie zsunąć ze stołu i usiąść na poręczy krzesła.

– Tak! Tak! Wyjątkowe dzieci! – powtarza machinalnie i po bladych jej ustach przebiega uśmiech zadowolonej macierzyńskiej próżności.

Pan Wentzel pochyła pokornie głowę i odwróciwszy się, drżącymi rękami szuka w pudełku, zastępującym mu szafę, czystej chustki i swej wytartej portmonetki. Pudełko to stoi pod jego łóżkiem, biednym, smutnym posłaniem opuszczonego wyrobnika, narzuconym dla *decorum*<sup>24</sup> szafirową kapą, stanowiącą własność pani domu, którą skromny kocyk biednego chłopca raził i harmonię przyzwoitego umeblowania dzieciennego pokoju psuł zupełnie.

W pudełku – pan Wentzel nie znajduje chustki, ale za to wydostaje zdechłą mysz, uczepioną przy zameczku portmonetki, w której kilka miedziaków się kołacze. Jest to sprawka „wyjątkowych” dzieci, które duszą się ze śmiechu na widok bladej twarzy nagle najeżonej twarzy pana Wentzla.

Wiedzą o tym, że pan Wentzel boi się konwulsyjnie myszy, i udanie się rozkosznego figla uczuciem błogim napętnia ich serduszka.

Lecz siedząca przy stole Francuzka marszczy brwi i groźnie, podniósłszy rękę do góry, woła ochryplym głosem:

– *Attention, sales gamins! Ou je vais vous ficher des claques*<sup>25</sup>!

---

<sup>24</sup> *decorum* (z łac.) – ozdobność, powaga, także: wystownienie a. styl właściwe dla tematu. [przypis edytorski]

<sup>25</sup> *Attention, sales gamins! Ou je vais vous ficher des claques* (fr) – Uważajcie, brudne

Chłopczy milkną i kołyszają się na krzesłach z mniejszym niż zwykle zapalem. Matka zaś przesyła dyskretny półuśmiech w stronę Francuzki, która prześlicznym żargonem z Montmartre rozpoczyna wykład greckiej mitologii.

I powoli fałdzista suknia matki-wdowy znika we drzwiach, spoza których dolatuje wystukiwane na fortepianie jakieś *Rêverie* Aschera.

Pan Wentzel tymczasem szamocze się ze zdechłą myszą, starając się odczepić ją od portmonetki. Pot pokrywa mu skronie, wyraz wstrętu maluje się w jego smutnych, wielkich oczach.

Trwa to długą chwilę – dzieci ciągle spod oka obserwują nauczyciela, triumfują wewnętrznie.

Wreszcie Julusiek dłużej wytrzymać nie jest w stanie.

– To ci pan Wentzel zdeseniał!... – woła podrywając się na krześle.

– Jak karaluch w tataraku!... – dorzuca śpiewająco Marian.

Lecz Francuzka uderzeniem pięścią w stół przerywa wybuchy radości miłych chłopczyków.

– *Taisez ous, tas des salauds*<sup>26</sup>! – I nagle sięgając do bocznej kieszeni sukni, wydobywa dość duży rewolwer, którego otwory pozaklejane są umiejętnie kulkami z chleba.

– No! – mówi kładąc rewolwer na stole – *j'espère, que vous*

---

dzieciaki! Albo dam wam klapsa. [przypis edytorski]

<sup>26</sup> *Taisez ous, tas des salauds* (fr.) – spokoj, bando łajdaków! [przypis edytorski]

*allez vous tenir tranquilles... autrement – je tire*<sup>27</sup>!...

I dalej ciągnęła wykład przy wzorowej ciszy ze strony obu chłopców, po których twarzach przemknął nawet cień szacunku.

Pan Wentzel tymczasem uporał się z myślą i wzięwszy ze stolika wytarty i zrudziały kapelusz, gotował się do wyjścia. Z rodzajem zazdrości spojrzął na zniszczoną twarz Francuzki i na leżący na stole rewolwer.

Tak! Widocznie inni ludzie posiadali dar wpływania dodatnio na te... wyjątkowe dzieci – on jeden tylko nie, on jeden!...

Słumiwszy westchnienie, ujął cicho za klamkę i wysunął się z pokoju.

– *Junon, dévorée par la jalousie, épiait Jupiter*<sup>28</sup>... – mówiła Francuzka ochryplym głosem, wykrzywiając przy tym swą twarz na kształt maski kłowna – *et Jupiter aimait Jo*<sup>29</sup>...

Zagłębiła się teraz w miłostki Jowisza z całą lubością bulwarówki; po jej ustach igrał od czasu do czasu uśmiech, a ręka machinalnie poprawiała rzadką na czole grzywkę.

Julusiek, trochę znudzony, gonił czasami migające po suficie słoneczne plamy i usiłował zwinąć język w łuk, zwany „klops”. Tylko Marian, zasłuchany w słowa Francuzki, ślizgał się wzrokiem po jej piersi, rysującej się dość wyraźnie pod opiętym

---

<sup>27</sup> *j'espère, que vous allez vous tenir tranquilles... autrement – je tire* (fr.) – mam nadzieję, że zachowacie spokój... inaczej będę strzelać. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *Junon, dévorée par la jalousie, épiait Jupiter* (fr.) – Junona, pochłonięta zazdrością, śledziła Jowisza. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *et Jupiter aimait Jo* (fr.) – a Jowisz kochał Io. [przypis edytorski]

stanikiem.

Patrzył, oczy mrużył i usta wydymał...

– Chwilkę, panie Wentzel, proszę tylko o krótką chwilkę!...

I Ewelinka powstawszy od fortepianu potrząsnęła głową ubraną w całe pęki loków.

– Gdzie pan uciekasz? Nigdy nie masz czasu... a ja tu sama tak siedzę!...

Ostatnie słowa podkreśliła znacząco powłóczyстым spojrzeniem.

Pod wpływem tego spojrzenia pan Wentzel pobladł jeszcze bardziej niż na widok myszy.

O! Gdyby wiedział, że Ewelinka obecnie „marzy” w salonie i fortepian... „gniecie”, jak mówił Julusiek, byłby z pewnością umknął przez kuchnię, choć i tam kucharka witała go niedwuznacznym mrużeniem i dowodzeniem, że „rosół się jej utrzęsie w garnku, skoro pana Wentzla bez<sup>30</sup> kuchnię niesie”...

Lecz pan Wentzel stokroć wolałby już narazić się na gniew kucharki, niż poddawać się magnetycznym spojrzeniom Ewelinki, dopełniającej w ten sposób pensyjnej edukacji i próbującej siły swych wdzięków na nieszczęsnym nauczycielu swych braci.

– Zagram panu Aschera... – wyrzekła, sznurując dość duże usta – przewracaj mi pan kartki...

Pan Wentzel rozpaczliwie zaczął przestępować z nogi na nogę.

---

<sup>30</sup> bez (reg.) – przez. [przypis edytorski]

– Chcę iść... na pocztę – wyjąkał cichym głosem.

– Poczta nie ucieknie – szeptała panna, przechylając się w łuk dla uwydatnienia wypukłości bioder – a wreszcie, ja proszę!...

Ostatniemu słowu towarzyszyło znów wymowne spojrzenie.

W chorej piersi pana Wentzla serce zabiło gwałtownie, krew uderzyła mu do głowy i czerwonym płomieniem oczy zasłoniła.

Ewelinka uśmiechała się zadowolona. Chciała doświadczyć, czy „powłóczyście” spojrzenie „działa”, i przekonała się, że istotnie jest to dobry lek i nie kosztuje zbyt wiele zachodu.

Lecz, pobudzona w swych doświadczeniach kokieteryjnych, pragnie dalej prowadzić rozpoczęte dzieło.

– Pan mnie unika, panie Wentzel – zaczyna znowu, grając dość fałszywie „nokturno” – pan mnie unika, o! Ja to czuję!...

Pan Wentzel nie śmie zaprzeczyć. Stoi jak słupek soli, zaciskając konwulsyjnie pięści. W gardle czuje dławienie, usta mu drżą nerwowo.

Tymczasem dziewczyna przechyliła głowę i mrużąc lekko oczy, wpatruje się w swą ofiarę.

– Pan ode mnie ucieka, a ja cierpię!...

„Nokturn” rozplywa się w przyciszonym akordzie. Ewelinka z wdziękiem opiera głowę o pulpit i pozostaje w tej pozycji chwil kilka, żałując, że nie może widzieć siebie samej i ocenić w całej malowniczości sytuacji, w której się znajduje.

Pan Wentzel tymczasem mieni się na twarzy wszystkimi kolorami tęczy.

Boże mój! Ona... przez niego cierpi, a on stoi jak wkuty

w dywan, nie mając siły, aby powiedzieć słowo na swoje usprawiedliwienie!...

Ewelinka obserwuje go spod oka.

Cieszy się serdecznie rozpaczą wrytą na chudej twarzy chłopaka.

Cierpi! Mężczyzna cierpi z jej powodu.

O radości!

Nie wie jednak, jak wybrnąć z tej sytuacji.

Czy, podawszy rękę, zmusić go do ukłęknięcia, czy oddalić się jak „senne zjawisko”, pozostawiając po sobie „szmer jedwabnej szaty”...

Wybiera to drugie, odkładając triumf zupełny na później i zerwawszy się z wdziękiem z taboretu, przebiega salon z szelestem świeżych spódniczek, a odwróciwszy się na progu, rzuca osłupiałemu Wentzlowi dwa słowa:

– Do wieczora!...

Lecz scena ta ma świadka w osobie matki-wdowy, która suwa się jak cień po całym mieszkaniu, udając gorliwie wypełnianie swych obowiązków.

Przed wrytym w ziemię Wentzlem zjawia się teraz nagle surowa, sztywna, pełna godności.

– Co pan tu robisz, panie Wentzel – pyta majestatycznie – proszę się nie zapominać! Nie za-po-mi-nać!...

I odwraca się jakby z jednej sztuki wykuta, owijając nogi nieszczęsnego nauczyciela w fałdy swej długiej szaty.

Pan Wentzel skłania się nisko i cofa się tyłem

w stronę przedpokoju. Otwierając, drzwi słyszy brzęk szkła i odwróciwszy się dostrzega Justysię, pokojówkę, strącającą szczotką pogruchotane kinkiety.

– Wszystko przez pana – mruczy pokojówka – szarpnąłeś pan drzwiami, że się we mnie wszystko zatrzęsło...

Pan Wentzel na palcach sunie przez przedpokój.

– Czysto jak zmora, albo hałasuje, albo milczkiem lezie...

Pan Wentzel przy drzwiach prowadzących na schody podnosi zasuwkę i ujmuje klamkę.

Justysia, oparta na szczotce, patrzy z pogardą na jego wytarty surducik i wąskie ramiona.

– To ci mężczyzna! – szepcze pociągając nosem. – Ni do Boga, ni do ludzi...

Pan Wentzel gorączkowo zaczyna zbiegać po schodach.

Tymczasem w pokoju Ewelinki cicho odbywa się scena. Pani Szymczyńska uznaje za stosowne przestrzec córkę przed niebezpieczeństwem, na jakie się naraża, pozostając sam na sam z mężczyzną.

Lecz Ewelinka smaruje sobie nos kremem Simona i pogardliwie wzrusza ramionami.

– Z jakim mężczyzną mnie widziałaś? – pyta wydymając usta.

– Z panem Wentzlem!...

– A!...

– No... nie zaprzeczysz temu, że byłaś z nim przed chwilą... w salonie – mówi jękając się matka, której zimna krew Ewelinki i wzgardliwe miny prawie od chwili urodzenia córki imponują

i pewność siebie odbierają.

Ewelinka teraz pudrem Simona bieli się na potęgę.

– Byłam... – odpowiada wreszcie – byłam, ale taki pan Wentzel przecież się nie liczy...

– Przecież jest mężczyzną...

Ewelinka spojrzała na matkę z litością.

– Mężczyzna?... To nędzna imitacja, nie żaden mężczyzna!...

I poszła, odwijając z cienkich obłonek mydło Simona, mające własność „udelikatniania naskórka”.

„I ftobie jednym cała nasza nadzieja synu najmilszy, com cię własnymi piersiami wykarmiła i sboleniem sercowym wyhodowała”...

Pan Wentzel rękę przesunął po oczach, bo jakaś mgła wilgotna źrenice mu przysłaniać zaczęła. Ten kawałek grubego, ordynarnego papieru, zakreślony krzywym i niewprawnym pismem, szarpie mu duszę na kawałki.

Odebrał przed chwilą z poczty ten list od matki, ubogiej sklepikarki w małej podgórskiej miejscinie, gdzie i on spędził swe dziecinne lata. Gdy listy przychodziły dawniej do domu pani Szymczyńskiej, „wyjątkowe” dzieci na dobre bawiły się „koszlonami”, z jakich złożony był adres.

Od pewnego czasu więc pan Wentzel odbiera listy od matki z biura pocztowego i siada w małym ogródku, otaczającym gmach pocztowy, dla<sup>31</sup> odczytania i odcyfrowania hieroglifów,

---

<sup>31</sup> dla (daw.) – w celu. [przypis edytorski]

z jakich się zwykle listy te składają.

I teraz siedzi na wilgotnej ławce, tuż pod krzakiem bzu, który dopiero pączki wypuszczać zaczyna.

Dokoła kilka chudych drzew wznosi swe bezlistne gałęzie, pies jakiś błąka się po trawnikach, grzebiąc łapami w czarnej ziemi, poprzecinanej wąskimi paskami zieloności.

W powietrzu unosi się ciepła wilgoć, która piersi smutkiem tłoczy i moc wspomnień nasuwa. Pan Wentzel raz jeszcze powoli list przeczytał, po czym, pochyliwszy na piersi głowę, myśleć począł.

W nim jednym cała nadzieja!

Cała nadzieja tych dwojga starców, zgiętych od pracy, nędzy i smutku! Jak w tęczę, tak patrzą w niego ci rodzice, którzy – odmawiając sobie kawałka mięsa, chwili spoczynku – do szkół go wysłali i teraz czekają plonów z tej mozolnej, ciężkiej pracy.

On wie, on to czuje, że jemu ustawać w pracy nie wolno, że wszystko, co znosi w domu pani Szymczyńskiej, nadal znosić powinien, bo ma ką, w którym stoi łóżko jego, ma dach nad głową, bo łyżka strawy, która mu nieraz przez ściśnięte gardło przejść nie może – trzyma go przy życiu – jego i tamtych dwoje...

I widzi ich w czarnej jamie sklepiu pomiędzy workami kartofli, beczką nafty, pękami drzazg, widzi ich schylane postacie, słyszy kaszel ojca, stękanie matki, woń stęchlizny i wilgoci owiewa dokoła...

Biedni! Biedni starzy!...

Lecz on? On sam, czyż nie cierpi, czyż te upokorzenia, te tortury, które codziennie z Julusiem i Marianem przebywa, te noce bezsenne spędzone nad książką, te ranki, wśród których znużone ciało domaga się chwili snu, te zaparcia się wszelkich uciech młodości, uśmiechów, swobodniejszej myśli!... czyż to się liczyć daje?

Zresztą dość spojrzeć na niego, gdy tak siedzi, nędzny i blady w jasnych promieniach wiosennego słońca. Twarz ma żółtawą z zielonawym, prawie trupim na skroniach odcieniem, piersi wklęsłe, plecy wypukłe, nogi wychudłe.

Jest brzydki, nędzny, śmieszny – wie o tym, czuje to i jest bardzo nieszczęśliwym.

A jeszcze w dodatku serce mu bije gwałtownie i coś się przed nim majaczy, jakiś uśmiech dziewczyny, jakiś akord „nokturna”, zasłyszanego przed chwilą...

Wszystko to gnębi go i dręczy nad wyraz.

Ciasna klatka piersiowa nie może pomieścić tylu wrażeń, które razem z ciepłą wonią wiosenną do jego piersi się cisną.

Coś go dławi w gardle, oddech mu tamuje. O! Ta wiosna!... Czyż ona istnieć powinna dla takich jak pan Wentzel nędzarzy?!

...

Pies, płaczący się po trawniku, zbliżył się teraz do ławki i przed nogami Wentzla przesuwać się począł.

Był tak jak Wentzel nędzny, wychudły i oddychał ciężko.

Chłopiec nachylił się nad zwierzęciem i brudne jego kudły delikatnie gładzić począł.

Bezdomne zwierzę oparło łeb o kolano człowieka, wpatrzyło się w bladą twarz, pochyloną nad nim i nagle przeciągle zawyło.

Wówczas z ciemnych, smutnych oczów pana Wentzla stoczyły się dwie wielkie łzy...

Gdy „wyjątkowe” dzieci weszły do salonu wraz ze swym nauczycielem, kilkanaście osób na wzór manekinów zapełniało fotele i kozetki. Był to *jour fixe*<sup>32</sup> i pani Szymczyńska uważałaby sobie za straszne uchybienie, gdyby przynajmniej ze sześć brzydkich jak noc panien, takąż ilość wychudłych mężczyzn i odpowiednia liczba mam nie wynudziła się wśród ścian jej salonu.

Pan Wentzel wprowadzał zwykle swych uczniów, drżąc na myśl wystawienia na światło licznych kandelabrow wyplamionego tużurka<sup>33</sup> i gumowych kołnierzyków.

Była to dla niego najcięższa chwila w całym tygodniu.

Zwykle Marian i Julusiek ukłoniwszy się gościom zwracali się z dowcipnymi uwagami w stronę swego kozła ofiarnego.

Lecz dziś pan Wentzel był stokroć więcej zmieszany niż zwykle. List matki, poranne przejście z panią domu, a wreszcie scena z Ewelinką odebrały mu resztę przytomności.

Ewelinka w gronie panien rozpoczęła właśnie zajmującą rozmowę o emancypacji kobiet, pragnąc ją oprzeć na całkiem

---

<sup>32</sup> *jour fixe* (fr.) – przyjęcie. [przypis edytorski]

<sup>33</sup> *tużurek* – dwurzędowy, ciemny surdut popularny na przełomie XIX i XX w. [przypis edytorski]

nowym gruncie, bo na darwinowskiej przemianie gatunków. Ewelinka lubiła popisywać się ze swą „głęboką wiedzą”, nie zanedbując przy tym powłóczystych spojrzeń.

Wypróbowała je rano na panu Wentzlu, była więc pewna swego i gradem ognistych spojrzeń obsypywała młodziuchnego blondynka, który jak wiśnia rumienił się i obrywał guziki u rękawiczek. Pan Wentzel, wciśnięty w kąt, stał opierając się plecami o ścianę.

Ponad nim płonęły świece kinkietu i oblewały go złotawym blaskiem i kroplami stearyny. Marian zajął jedno z lepszych miejsc, tuż obok dobrze wydekoltowanej mężatki, i włożywszy ręce w kieszenie, patrzył i usta wydymał.

Julusiek zatrzymał się chwilę przed panem Wentzlem.

– Cóż pan tak tkwi koło ściany? Nie może pan usiąść?...

Pan Wentzel obejrzał się za fotelem, czując, że parę osób zwraca na niego uwagę.

W pobliżu właśnie stał wspaniały fotel, obrzucony makatą.

Pan Wentzel osunął się na niego machinalnie.

Julusiek wzruszył ramionami.

– Na fotelu? – zaskrzeczał podskakując na jednej nodze – jak jaki obywatel?... Nie możesz pan na krześle?...

Osoby siedzące bliżej zaczęły się uśmiechać.

Julusiek uczuł, że odnosi sukces, i podniósł głowę z prawdziwym triumfem.

Pan Wentzel zacisnął usta i nie śmiał oczów<sup>34</sup> oderwać od

---

<sup>34</sup> *oczów* – dziś popr. forma D.lm: *oczu*. [przypis edytorski]

ziemi.

Wniesiono herbatę.

Julusiek porwał z tacy filiżankę i zbliżył się z nią do nauczyciela.

– Napij się pan herbaty! – mówił, pakując się na kolana Wentzlowi – wyglądasz pan jak śmierć angielska... pij pan...

I potracił filiżankę, wylewając gorący płyn na ręce i tużurek Wentzla.

– Potem powiedzą, żeś się pan u nas zagłodził... – dodał, wykrzywiając się jak stary pajac.

Pan Wentzel ujął filiżankę i oglądał się za łyżeczką.

– Czego pan szuka?

– Łyżeczki!

– A to po co?

– Zamieszać!

– A nie możesz pan palcem?

I zląwszy z kolan nauczyciela, „wyjątkowe” dziecię zmieszało się z tłumem gości, depcząc po jedwabnych trenach dam i lakierkach mężczyzn.

Pan Wentzel pozostał w swoim kąciku z filiżanką herbaty w ręku.

Przed nim jakaś tęga brunetka prezentowała swą pełną szyję w oświetleniu płynącym z góry. Jej obnażone ramiona, fałda ciała na karku, fałda pełna tajemniczego cienia, mieszała pana Wentzla i napełniała jakąś bojaźnią. Sam, nędzny i chudy, lękał się dobrze rozwiniętego kobiecego ciała.

Zapach wydzielający się z sukien brunetki odurzał go do reszty.

Przy tym głos Ewelinki, donośny, trochę nosowy, jej śmiech nerwowy, nadto dobrze „ułożonej” panny, wstrząsał mu serce.

Uczuł się bliskim zemdlenia.

Nagle z tego półsnu zbudził go skrzeczący głos Juluśka:

– Czyś pan kiedy kochał?

To wyjątkowe chłopię w ten sposób interpelowało rumianego blondynka, siedzącego obok Ewelinki. Mimo woli rozmowy ucichły. Julusiek miał własność śmieszenia całego towarzystwa, oczekiwano na coś bardzo dowcipnego.

Malec czuł się panem sytuacji.

Potrząsnął żółtą czupryną i rozstawił szeroko nogi.

– No! Powiedz pan, czyś już się kochał?...

– Nie... – wybąknął blondynek – jestem jeszcze za młody...

Julusiek szeroko otworzył oczy.

– Phi! – skrzeknął – a pan Wentzel młodszy od pana, a już się kocha.

Wszystkie oczy zwróciły się ku nauczycielowi, który otworzył usta, jakby chcąc coś powiedzieć, lecz głosu mu zabrakło.

– Ja bym panu powiedział, w kim – ciągnął dalej Julusiek – ale uprzedzam pana, że oni mnie zaraz za drzwi wyrzucą, bo prawdę pawiem. O! Jewelinka i pan Wentzel to się mają ku sobie...

Purpurą oblała się twarz Ewelinki.

– Panie Wentzel! – zawołała, drżąc cała ze złości – proszę Julka wyprowadzić i zamknąć się z nim w dziecinnym pokoju...

Pan Wentzel podniósł się, czepiając poręczy fotela. Żyły mu na skroniach nabiegły, wyglądał jak pijany.

Chciał podejść do Juluśka, lecz malec szedł już ku drzwiom, dumny, zadowolony z uczynionego wrażenia, mruczając ciągle:

– A co? Nie mówiłem, że gdy powiem prawdę, to mnie za drzwi wyrzucą?!

W dzieciennym pokoju pali się niewielka lampa, przysłonięta zielonym abazurem. Julusiek i Marian, zdaje się, śpią spokojnie w swych łózkach, ponakrywanych stosem kołder i kołderek.

Koło stołu siedzi pan Wentzel, kurcząc pod stołem nogi w zaplamionych atramentem skarpetkach. Przed nim leżą nożyczki, gruba igła, motek nici i kilka guzików. Pan Wentzel zabrał się do łatania swej codziennej kurtki i jakoś mu idzie niesporo. Kłuje się w palce, ścięgi daje monstualnych rozmiarów! Miał zamiar sprawić sobie nową kurtkę na wiosnę, ale namyślił się – zrobi inaczej. Pieniądze te pošle rodzicom, właśnie matka pisała, że sklepik nic nie przynosi, ojciec coraz słabszy...

Pan Wentzel matce odpisał, guldeny w list włożył i teraz, szyjąc, spogląda z rozrzewnieniem na kopertę, która za parę dni w szerniałych od pracy rękach matki będzie.

I wśród tej ciszy nocnej w wyobraźni swej widzi pomarszczoną twarz ojca, wybladłe lica matki, którzy z radością się nad listem pochylą i sylabizować literę po literze będą.

Biedni! Biedni starzy!...

Pan Wentzel prawie uśmiechać się zaczyna. Na chwilę zapomina o swej nędzy, ciesząc się, że radość innym sprawia.

Nagle jakby na komendę z dziecinnych łóżek podnoszą się dwie rozczochrane głowy i rozlega się wrzask, od którego pan Wentzel drżeć i blednąć poczyną:

Hopsztynder! Madaliński!

Fiuta!... z kopyta...

Szara, ciach, ciach!... tańczy sobie

Z Barabaszem mazura!

Hej kolęda!... kolęda!...

# Oślica

Gorączkowo Honorka zaczęła spowijać kwilące cichutko dziecko.

A wyciągając długi – na trzy łokcie powijak, mówiła ochryłym głosem:

– Chodzi! Chodzi! Synulku!... pójdziemy na wesele twojego ojcaszka! Chodzi synulku, pójdziemy mu družbować, ale nie ołtarz mu sprawimy, ni jakie weselenie, jeno<sup>35</sup> łaźnię gorącą, że aż mu w piętach postygnie!

Stojąca obok barłogu, na którym leżało dziecko – kuma Kazimierzowa zaczęła nagle szlochać.

– A bezbożnik! Wydziwiacz, rozbijaka! Taką ci uczciwą dziewczynę z dobrej drogi sprowadził i teraz nijakiej pamięci o niej nie ma!...

Honorka szarpnęła silnie powijak.

– On ci pamięci o mnie nie ma, ale ja go za to w pamięci mam i niech mi Pan Jezus i Matka Najświętsza ręce i nogi poułamuje, jeśli ja go do ołtarza dopuszczę!... Beze mnie i bez<sup>36</sup> tę dziecinę przejść musi!...

– Prawdę masz! – przytakiwała kuma, obcierając łzy płynące gradem po tłustej i czerwonej twarzy – już ci takiej krzywdeczki

---

<sup>35</sup> *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

<sup>36</sup> *bez* (reg.) – przez. [przypis edytorski]

to i Trójca Święta nie daruje. Ty się o swoje upomnij, Honorka, w twarz mu napluj – od młodej odciągnij, a swego nie daruj!

– I nie daruję! – powtórzyła zacinając zęby dziewczyna.

Wzięła duży szmat barchanowy<sup>37</sup>, który się suszył koło pieca, i przytrzymałszy jeden koniec w zębach, dziecko nim owijając poczęła.

Obracane jak piłka chłopię żałośnie płakać poczęło.

– Cicho, psiakrew, chorobo jedna! A bodajżeś się zadławił własnym ozorem, ty kundlu zatracony! A bodaj cię mór wydusił! – wybuchnęła Honorka, drząc prawie cała od wewnątrz tłumionej rozpacz. I wstrząsnęła dzieckiem tak silnie, że aż jęknęło jak zdławione szczenię.

Wówczas kobieta przypadła twarzą do barłogu i gryząc koc, w nadmiarze rozpacz wołała:

– A nie jęcz ty nad moją biedną głową – sieroto nieszczęśliwa... bo jeszcze mnie w zbrodnię jaką zepchniesz.

Kuma Kazimierzowa pochyliła się nad klęczącą kobietą.

– A dajże spokój, Honorko, dziecku i nie widziwiaj się nad tym robakiem!

– Bez niego to wszystko, bez niego!

Kazimierzowa wzruszyła ramionami.

– Oj, ty oślico! – wyrzekła z powagą – jak to: bez niego te rzeczy się dzieją? Czy to on ci się kazał z tym pędziwiatrem wdawać? A toć jego, robaka, na świecie wtedy nie było, jakeście się złazili to w piwnicy, to w komórkach!

---

<sup>37</sup> barchanowy – wykonany z grubej tkaniny bawełnianej. [przypis edytorski]

I odebrawszy dziecko z rąk Honorki, sama je spowijając i ubierać zaczęła.

– Nie w tym rzecz, aby nad niewiniątkiem pomstować – ciągnęła nosowym, monotonnym głosem – ale w tym rzecz, ażeby na czas do kościoła trafić i panu młodemu drogę mądrze zajść. – Słyszysz?

Honorka klęczała wciąż koło tapczana, mnąc w wychudłych rękach potargany i zniszczony kocyk. Z małego okienka, umieszczonego wysoko w ścianie tuż nad posłaniem, płynęła jasna struga światła i biła wprost na twarz dziewczyny zniszczonej słabością i zgryzotą, która jej duszę szarpała.

Nie odpowiedziała wprost na zapytanie kумы, lecz ściągając brwi, przez ściśnięte zęby wyszeptwała:

– Nie daruję! Nie daruję!...

Kazimierzowa skończyła ubieranie dziecka i zdjawszy z kołka ciemną chustkę, na plecy Honorki narzuciła.

– Chodzi! – wyrzekła – chodzi, już czas!

Po twarzy dziewczyny przemknął jakby cień przestachu. Przymknęła oczy i pozostała chwilę nieruchoma, jakby do tapczanu przykuta. Kuma już stała owinięta w chustę, gotowa do drogi, huśtając lekko kwilące dziecko.

– Honorko! Cóżeś tak przykućła? Jak chcesz skandał zrobić – to duchem<sup>38</sup> nam iść trza. Już czas!

– Chwilę jeszcze, kumo! – prosiła Honorka – czegosić mnie teraz lęk ogarnia!

---

<sup>38</sup> *duchem* (daw.) – szybko. [przypis edytorski]

Kazimierzowa zachnęła się z gniewu.

– A ty oślico cholerna! – zawołała, kładąc dziecko na tapczan – ty nad tym robaczątkiem nijakiego „litosierdzia” nie masz! Toć na całe już życie przypadło ci wszystko, boć „honor” i cnotę w oczach ludzkich ten zgniłek ci odebrał, a dzieciaka na rękę ci rzucił i troskać się o niego kazał. Jak się „obzeni”, tyle już prawa do niego nie masz! Już ci ni Bóg, ni ksiądz żadnej sprawiedliwości nie da. Jak żeniaty, to od wszystkiego ochronny! Ale ty od pędraaka byłaś oślicą i słusznie cię nieboszczka matka tak przewała! No! Czy to nie oślica? – kiedy jeszcze może co na swą stronę wyciągnąć... to kuca i mówi, że boja ma! Oj oślica ty! oślica!...

Honorka podniosła się z ziemi i schwywszy dziecko na rękę, ku drzwiom szybko posunęła.

– Chodźmy! – wyrzekła krótko, drzwi od stancji kopnięciem nogi otwierając.

Oczy jej się świeciły, usta miała znów zaciśnięte i zębami przygryzione.

– Nareszcie! – zamruczała kuma zamykając drzwi na kłódkę – aby go tylko dobrze po mordzie sprąła i publikę zrobiła!...

\*

Nieszpory się skończyły, lecz świece przy wielkim ołtarzu gorzały wciąż, oblewając żółtym, migocącym blaskiem szerniałe płótno, z którego bieliło się ciało Jezusa zawieszono

na krzyżu.

Pomiędzy „wiernymi”, przepelniającymi lakierowane ławki, zapanował ruch i ożywienie wielkie.

Jedna „siostra” zapytywała drugą – dlaczego nie gaszą świec, skoro już wszystkie piękne pieśni zostały wyśpiewane.

– Zdaje się ślub jeszcze będzie – doszedł szept z ławek zajmowanych przez mężczyzn.

Kobiety wdzięcznie pochyliły głowy.

– Dziękujemy! Dziękujemy! – A czyj!

– Subiekta<sup>39</sup> z cukierni i córki kolejnika!

Wszyscy zaszemrali zadowoleni.

Warto zostać, taki ślub to już parada. Kolejarze, wiadomo, lubią wszystko z pompą – a taki subiekt z cukierni to „osoba”.

Tymczasem kościelny wyniósł dwie poduszki i przykląkwszy, układać je począł na stopniach.

– Poduszki! – zaszemrało na ławkach.

Lecz znów mężczyźni udzielają informacji bliższych co do osoby pana młodego.

Kobiety składają z westchnieniem książki i owijając na rękach długie różańce, wyciągają szyje – ciekawe, żadne wiadomości o tych ludziach, którzy za chwil kilka jak papugi powtarzać będą słowa sakramentalnej przysięgi.

– Więc cóż? Cóż? – pyta jedna przez drugą.

Pan młody – tak! – zapewne, człowiek bardzo uczciwy, porządny, uczony nawet – zdolny, ma jakieś oszczędności.

---

<sup>39</sup> *subiekt* (daw.) – sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

Kto wie! Może niedługo założy i cukiernię. Z takimi jak on „głowaczami” to wszystkiego spodziewać się można.

Kobiety kiwiają głowami, nagle spoważniałe, jakby ta dobra opinia, którą się cieszy ów subiekt, przejęła je szacunkiem i powagą. Kościelny wnosi kropidło i naczynie z wodą święconą.

W ławkach powstaje znów szmer.

– Kropidło!... patrzcie, kropidło!...

Ale już dwa ścieśnione szeregi ustawiają się wzdłuż ławek, tworząc rodzaj alei bramowanej<sup>40</sup> ludźmi. Aleja ta od balustrady przeciąga się aż ku drzwiom głównym, które zakrystian w tej chwili na oścież otwiera. Turkot powozów, hałas uliczny, cały szum letniego, niedzielnego popołudnia wpada nagle w wilgotną ciszę kościoła.

Przez kolorowe szyby wpadające promienie słońca kładą kolorowe plamy na głowach i grzbietach ludzi.

– Przyjechali! Przyjechali! – dochodzi wołanie z tłumów zalegających stopnie perystylu<sup>41</sup>.

Jest to jednak fałszywy alarm.

W progu kościelnym ukazuje się drużba w świecącym cylindrze i jasnym palcie narzuconym na ramiona. Dumny jest i wąsy ma podfryzowane żelazkiem fryzjerskim. Stojąc w progu kościoła, ogarnia jednym rzutem oka całą przestrzeń. Mrużąc oczy, zda się chce policzyć świece płonące na ołtarzu, po czym

---

<sup>40</sup> *bramowany* – dosł.: obszyty po krawędzi pasem materiału. [przypis edytorski]

<sup>41</sup> *perystyl* (z gr.) – termin architektoniczny: przedsionek wsparty na kolumnadzie. [przypis edytorski]

szybko, zaaferowanym krokiem przebiega wąskie przejścia, pozostawione wśród tłumu.

– Drużba! Drużba! – szmerze tłum, popychając się i wyciągając szyje za znikającym we drzwiach zakrystii mężczyzną.

Znów nowy napływ ciekawych tłoczy się pomiędzy bocznymi filarami kościelnej nawy. Pełno już jest i gwarno, kobiety półgłosem powtarzają sobie plotki o rodzinie panny młodej. Plotki te wyrastają spod ziemi; służą do zabicia czasu i skracają nudy oczekiwania.

Koło drzwi wchodowych<sup>42</sup> słyhać przyciszone śmiechy. Jakiś żartowniś opowiada dziwy o samej pannie młodej.

– Ależ tak – podobno jakiś hrabia dołożył do posagu kilka tysięcy – ot! Z przyjaźni dla ojca.

– Hrabia dla konduktora?

– Co pan chcesz, dziś takie czasy...

I śmiechy zaczynają się w najlepsze, starsze kobiety sznuruują usta i spuszczaają oczy.

Takie nieskromności w świętym miejscu, nie! – ci mężczyźni już żadnej wiary w sercach nie mają!

Lecz śmiechy milkną, bo w progu pojawia się nagle Honorka z dzieckiem na ręku, w asystencji Kazimierzowej.

Pojawienie się dwóch kobiet nie byłoby rzeczą niezwykłą, lecz Honorka, z której głowy spadła chustka, z twarzą pokrytą purpurowymi plamami, z pasmami włosów potarganych nad

---

<sup>42</sup> wchodowy – dziś popr.: wejściowy. [przypis edytorski]

czołem i z konwulsyjnie zaciśniętymi wargami, wnosi z sobą jakąś ponurą grozę, która wydzielając się z jej całej postaci, każe zwrócić na dziewczynę oczy tłumu.

Kazimierzowa oddała jej przed kościołem dziecko – uznając za stosowne, aby matka z dzieckiem pojawiła się przed wszystkimi, i tak stoi teraz Honorka, cisnąc gorączkowo milczące dziecko do piersi, stoi jak przykuta w progu, podniecając się w energii i rozpacz, która jej biedną duszę szarpie.

Oczy ma suche, bez łez, podsiniąte i z osłabienia prawie zezem patrzące.

Stoi i zda się nie dostrzegać tłumu, który zbitą masą dokoła niej szemrze, z zwierzęcą ciekawością rzucając się na nową zdobycz. Lecz Kazimierzowa nie zasypia sprawy. Na widok oświeconego ołtarza oczy kumy nabiegają łzami. Poprawia chustkę i kiwa głową żałośnie.

– Tak! tak! – zaczyna z początku stłumionym głosem – przyszedliśmy do Pana Jezusa po sprawiedliwość i sąd Jego najświętszy! A niechże On naszą sprawę rozsądzi i nad sierotami zmiłowanie okaże!

Tłum wężem przeczuwa skandal.

Ten i ów przysuwa się do Honorki, stojącej ciągle w progu z dzieckiem na ręku.

– A cóż to się wam krzywda jaka stała?

Kazimierzowa znów głos zabiera.

– Stała się nam krzywda ciężka, bo oto tę sierotę, co tu stoi, ten

dzisiejszy pan młody sposponował<sup>43</sup>, cnotę jej wydarł, żenić się przyrzekał i oto teraz z pędrakiem porzucił jak psa na rozstaju!

...

W tłumie zaszemrano i uciszono się nagle. Jakieś zimno smutku i kobiecej niedoli powiało nagle nad głowami obecnych.

Mężczyźni instynktownie kurczyli się i pochylali głowy, kobiety otwierały szeroko oczy, wpatrując się w dziewczynę i w dziecko, które zdawało się być umarłym, tak leżało cicho wśród szmat i fałd chustki matczynej.

Lecz kuma nabierała coraz większej śmiałości i pewności siebie.

– A ino... nie po co innego my przyszły, ino po to, aby pannie młodej się sprezentować, publikę zrobić i nie dopuścić, aby ten wyrwipięta obzenił się na uczciwą wiarę.

---

<sup>43</sup> *sposponował* – dziś popr.: *sposponował*. [przypis edytorski]

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.